

Damian Wojciechowski TJ

PODRÓŻ W STYLU CZYNGIS-CHANA

Po dwunastu dniach wyprawy jesteśmy znużeni – my i konie. Mamy za sobą 400 km przez dzikie góry sięgające prawie 4000 m n.p.m. Pokonaliśmy łącznie ponad 6 km różnic wysokości. W końcu widać brzeg Issyk-kulu. To prawie morze, a nie jezioro: długie na 200 km, szerokie na 80, a głębokie na ponad 700 m, położone na wysokości 1650 m.

**PRZEDWIOŚNIE**

Na szczytach jeszcze śnieg, a w dolinie gruba pokrywa szronu. Niedaleko stąd jest przełęcz Tosor – 3893 m n.p.m., którą Kirgizi przeganiają wiosną na wysokogórskie łąki bydła i konie z wioską nad jeziorem Issyk-kul.

Słońce w zenicie. Ostatnie kilometry ślimaczmy się strasznie. Bliżej jeziora rośnie wysoka trawa, na którą nasze rumaki rzucają się jak szalone, bo przez całą drogę nie miały takiego przysmaku! Trudno je oderwać od tej zieleni. Nasz przewodnik Asylbek (tzn. „mądry”) ostrzegwał, aby nie przybliżać się do wody, bo konie mogą się w nią rzucić, nie zwracając uwagi na jeźdźców. A teraz sam wpada na plażę i zaczyna galopować. Za nim wszystkie nasze rumaki, jakby zapomniały o głodzie, pragnieniu i zmęczeniu. Pędzimy wzdłuż fal, które uderzają o brzeg. Konie wprost lecą nad piaskiem, nie zwracając uwagi na kurdżuny (sakwy), które biją je

po bokach. Każdy chce być pierwszy, jakby obudził się w nich pierwotny instynkt; jakby nie musiały nas przez tyle dni taszczyć przez skały, przełęcze, bagna, śnieg, deszcz i grad. Wpadamy jak szaleni na łączkę przed Centrum Dziecięcym, które jest naszym celem. (Centrum 10 lat temu wybudowali jezuici, przyjmuje ono co roku na terapię oraz wypoczynek ok. tysiąc dzieci – niepełnosprawnych, sierot i z biednych rodzin). To koniec wędrówki. Ale ten ostatni galop będzie się nam długo śnił po nocach!

KOŃ SIĘ BRONI, WIELBŁĄD PRZEGRZAŁ

Kirgistan to jeden z ostatnich krajów, gdzie koń ciągle jest stałym elementem krajobrazu. Na wsi, a szczególnie na wysokogórskich pastwiskach, nie można się bez niego obyć. Wszędzie można spotkać tabuny wędrujące po polach lub stepie. Kiedy jedziemy, zawsze podziwiamy Kirgizów, jak lekko trzymają się w siodle: minimalne ruchy ciałem, jak zrosnięci z wierzchowcem. Nie ma się czemu dziwić, siadają na niego, gdy mają 5–6 lat. Żyją z końmi od tysięcy lat, piją ich mleko, używają do transportu i żaden *toj* (wesele) lub pogrzeb nie obejdzie się bez końskiej kielbasy *czuczuk*.

Jednak w ciągu ostatnich stu lat wiele się zmieniło. Kiedyś, obok wielbłądów, były



jedynym środkiem transportu. Wielbłąd, który niósł jurkę, czyli około 500 kg, został zastąpiony przez ciężarówkę, koń zaś, na dłuższych odcinkach – przez samochody osobowe. Nikt już nie jeździ nim z miasta do miasta, a sporo dróg jest wyasfaltowanych. Ale jeszcze na początku XX w. wędrowano w ten sposób wiele

dni przez góry i przełęcze. Teraz każdy *czaban* (baca) ma koło jurty stare audi lub nowszego landcruisera. Końmi wędruje tylko kilka dni wiosną – z aiłu (wioski) na syrty (wysokogórskie pastwiska powyżej 3000 m), a potem jesienią z powrotem, pędząc przed sobą stada owiec, krów i koni.

JAKI GRZECZNY

W tym kraju nie ma dzikich jaków, ale wiele udomowionych stad żyje w wysokich górach prawie bez kontaktu z ludźmi. Takim bykowi trzeba więc spętać przednie nogi, aby nie atakował zwierząt i ludzi.



WESTERNOWO

Skąły, śnieg czy lód to codzienność dla miejscowych koni – tym razem na najwyższej przełęczy, jaką pokonała wyprawa, czyli Dungurome (3773 m n.p.m.).



FOT. DAMIAN WOJECHEŃSKI TJ

Dawniej Kirgizi musieli do pełna napakować prowiantem swoje kurdzyny, aby po tygodniach wędrówki dotrzeć do celu. Wędrowcy mogli nocować w napotkanych jurtach, bo gościnność to tutejsza cecha narodu. Nie mieli map, albo więc brali ze sobą przewodnika, albo pytali o drogę ludzi z innego plemienia (wtedy więzi plemienne były silniejsze niż narodowe). Kirgizów 100 lat temu było zaledwie 600–800 tys. (teraz 5 mln), czyli góry były bardziej puste.

Przy ścieżce pasterze właśnie zakończyli rozbijanie jurty. Starsza kobieta wita nas z daleka, a młoda podchodzi z kumysem i chlebem. Tłumaczę, że nie mamy drobnych. Młody Kirgiz wyjaśnia, że to poczęstunek – każdy musi

spróbować choć kawałek. Siedząc w siodle, biorę drugą, trzecią miseczkę kumysu i wypijam duszkiem – jest wyśmienity!

Jurta to nie namiot, lecz prawdziwy przenośny dom. Na samym dole jest *kerrege*, około metrowy płatek, składany dla transportu w harmonijkę, to na nim mocuje się drewniane pręty *utuk*. Od liczby *utuk* zależy wielkość jurty – najmniejsza ma ich 45 i mogą w niej przespąć się 3–4 osoby. Największa ma 95 i może pomieścić nawet kilkadziesiąt osób. Pręty na górze łączą się na *tunduk* – okręgu, w którego wnętrzu jest umieszczony krzyż z 3 do 5 prętów. Taka konstrukcja pokryta jest *kijiz*, czyli wołokiem z owczej sierści.

PRZEZ DOLINĘ BURHANU

Szerokie, pokryte soczystą trawą doliny to typowy krajobraz Tien-szanu (po chińsku „niebiańskie góry”). Na zdjęciu dolina Burhanu – dopływu Narynu, jednej z największych rzek Azji Centralnej.



FOT. DAMIAN WOJECHEŃSKI TJ



FOT. DAMIAN WOJECHEŃSKI TJ

Jurta to genialny wynalazek, który nie uległ zmianom od tysięcy lat. Latem chłodna, zimą ciepła – temperaturę reguluje się w niej, odkrywając lub zakrywając *tunduk* kawałkiem wołłoku.

TAKIEJ GRUPY TU NIE BYŁO...

Od lat marzyłem, żeby zorganizować wyprawę, która powtórzy dawne wyprawy Kirgizów. Ale jak znaleźć ludzi, którzy chcieliby sprawdzić na własnej skórze podróżowanie w czasach Czyngis-chana? Nie chodzi zresztą tylko o ludzi, którzy dobrze siedzą w siodle, ale również o takich, którzy potrafiliby z bagażami wędrować po pustkowiach i bezdrożach kilkanaście dni. Otóż taka ekipa się znalazła – w warszawskim klubie jeździeckim Szarża, który od lat organizuje wyprawy konne, w tym w góry.

A jak znaleźć konie? Kirgiskie firmy turystyczne oferują tylko krótkie, znane i powtarzane trasy, z ogromną liczbą pomocników i za

okrągłą sumę. Długi czas myślałem, że jedyne wyjście to kupić konie w jednym miejscu, a potem po zakończeniu wyprawy sprzedać je w innym. Przypadkowo dowiedziałem się jednak od Eriki, właścicielki kempingu jurtowego położonego po sąsiedzku z naszym Centrum Dziecięcym, pół Rosjanki, pół Kirgizki, że w Bokenbajewo, siedzibie powiatu na południowym brzegu Issyk-kulu, działa coś w rodzaju agroturystyki. Tam konie bierze się bardzo tanio bezpośrednio od czabanów.

Na spotkaniu z Sałtanat *edże* (*edże* to „pani”), szefową „spółdzielni turystycznej”, walę prosto z mostu, że mam swoją trasę, nie potrzebuję przewodnika, no i mam ludzi, którzy znają się na koniach nie gorzej od miejscowych. Ku mojemu zdziwieniu Sałtanat zgadza się na moje warunki. Dziwi się jednak, że bierzemy tylko jednego konia jucznego: – *A jak będziecie transportować wodę mineralną? – Jaką wodę mineralną? –* pytam zdziwiony. – *No, do picia.* Okazuje się, że turyści zagraniczni boją się pić z górskich strumieni.

TWARDA SZKOŁA

Dzieci często podróżują przez ten dziki kraj samotnie. Uczy się je samodzielności i odpowiedzialności. A pomaga w tym oczywiście koń.



Sułtanat nie rozumie też, jak sobie poradzimy z jednym przewodnikiem. Kto będzie nam siodłał konie i rozstawił namioty? Sami? Takiej grupy jeszcze nie miała! I do tego 12 dni jazdy przez nieznaną górę, kiedy najdłuższa trasa ich „spółdzielni” trwa 9 dni, no i jest dwa razy krótsza.

Troje z nas trzy dni wcześniej jedzie do Bokenbajewa, aby sprawdzić konie, siodła i uprzęż. Trzema niewielkimi ciężarówkami wieziemy je nad jezioro Son-kul, położone na

wysokości 3500 m n.p.m. Od początku maja z niepokojem obserwowałem góry wznoszące się nad Biszkekiem, stolicą Kirgistanu. W tym roku wiosna była nadzwyczaj długa – na szczytach co kilka dni pojawiał się świeży śnieg. Moje obawy się potwierdzają: droga na przełęcz prowadzącą do jeziora jest zasypana śniegiem. Muszę więc częściowo zmodyfikować plan naszej trasy, aby uniknąć śniegu na przełęczach. Oznacza to także, że będziemy mieli mniej wariantów odwrotu lub skrócenia trasy.



U MYŚLIWYCH

Posiłek w opuszczonym szałasie myśliwskim niedaleko od przełęczu Kerege-Tasz (3684 m n.p.m.).



OCEAN TRAWY I NIEBA

Spotykamy się z pozostałymi uczestnikami wyprawy nad Son-kul, rozdzielamy konie i następnego dnia ruszamy przed siebie. Chcę ściąć drogę, posuwając się wzdłuż brzegu. Choć cały teren wokół jeziora jest naturalnie zabagniony, to jednak błoto w tym roku jest głębsze niż zwykle – koń przewodnika zapada się po brzuch i robi się niebezpiecznie. Skręcamy więc na drogę.

Asyłbek, nasz przewodnik, wie, że to ja ustalam trasę, targając nim jednak wątpliwości. Ciągłe pyta, czy znam drogę? Ratuje mnie to, że umiem bardzo dobrze czytać mapę, więc przed każdym odcinkiem mówię mu, co będzie dalej, i tak nabiera do mnie zaufania.

– Skąd znasz szlak? – pyta. Łgam jak z nut: – Jeden przewodnik z Dżuku mi o nim powiedział... Później okazuje się, że Asyłbek nie ma pojęcia o mapie. Kiedy pokazuję ręką i pytam: – Tam jest rzeka Burhan? – Nie za tymi górami – odpowiada. Sprawdzam więc na mapie: – Nie, tam na lewo musi być Burhan. Asyłbek patrzy na mapę z niedowierzaniem i nagle mówi: – Popatrz, Burhanów jest dużo! – i pokazuje kolejne podpisy do tej samej rzeki.

W dolinie Sułtansary kłusujemy razem ze stadem jaków. To krowy i cielaki, bo byki na szczęście trzymają się oddzielnie – mogą być niebezpieczne. Stado, które spotykamy, liczy około 200 sztuk. Biorąc pod uwagę, że jeden jasek może kosztować nawet 1000 USD, łatwo policzyć, że właściciel takiej gromady jest bogaczem.

Z naprzeciwką jedzie dziewczynka. Zatrzymuje się niepewnie. Skąd jest i co tutaj robi? Jest z rodzicami na *dżajto* (letnie pastwisko) i ma 8 lat. Rodzice wysłali ją do sklepu we wsi. Jedzie samotnie przez góry cały dzień i potem wraca tą samą drogą. – Jak wchodziś na konia? – pytam zaciekawiony. Dziecko wydaje krótki okrzyk, kobyła pochyla głowę do ziemi, a mała zgrabnie ześlizguje się na ziemię po jej szyi, a następnie, chwytając się grzywy, wdrapuje z powrotem na siodło.

Asyłbek jest już pewniejszy i zadowolony: – To Karasaz. – Był tutaj kilka lat temu. Teraz już mi wierzy, że za południowym pasmem znajduje się rzeka Kiczik Naryn, wzdłuż której prowadzi jego standardowa trasa. Asyłbek informacje o trasie czerpie z rozmów

GÓRY CIENISTE

W Terskiej Ałatoo („góry cieniste”) rosną największe w Kirgistanie lasy świerkowe. Na zdjęciu dolina Dżuku, należąca do najdłuższych w tym paśmie, ok. 30 km.



POPAS

Dolina Dżyłu-Suu w słońcu zachęcała do odpoczynku. Topił się śnieg i lodowce, zapewniając wodę dla kanałów nawadniających, które biegną przez położone u podnóża gór kotliny.

OSTATNIA PROSTA
Z BIAŁO-CZERWONĄ

Następny nocleg – pod samą przełęczą. Jest tak zimno, że rano jedna z naszych dam, zdumiona białym płaszczem, który pokrył kotlinę, pyta, czy to śnieg? Nie, to szron. Na samej przełęczy tylko co zszedł śnieg. W maleńkim strumieniu szamocą się ławice pstrągów, które próbuje bezskutecznie łapać Asyłbek. Trawa między niewielkimi jeziorkami jeszcze się nie zazieleniła, za to wszędzie dookoła biały dywan pełników.

Droga na dwunastą i ostatnią, najwyższą przełęcz, Dingurome („grzmiąca” ze względu na częste burze, 3773 m n.p.m.), prowadzi znowu przez skały i kamienie. Czasami strach zagląda w oczy, kiedy koń ślizga się nad przepaścią i jego najmniejszy błąd może zakończyć się dla nas obydwu tragicznie. Koń jest jednak o wiele spokojniejszy ode mnie i lawirując wśród głazów, pewnie pokonuje kolejne przeszkody.

Nasza wyprawa powoli się kończy. Jeszcze nocleg w rozległej, zalesionej na zboczach dolinie Dżuku. Następny będzie o wiele niżej, gdzie w końcu jest ciepło, a na polanie wśród wysokich czerwonych skał i niskiej trawy płyną małe strumyki.

A potem już ostatnia prosta – wyrbrzeże Issyk-kulu, które przypomina Sycylię: suchą, kamienistą i spaloną słońcem, z rzadkimi kolczastymi roślinami. Z biało-czerwoną flagą, przytroczoną do siodła, dumnie wjeżdżamy do wioski Darhan, pierwszej miejscowości na naszej trasie. Kirgizi patrzą na nas, białych jeźdźców, ze zdziwieniem i sympatią. ○

z napotkanymi pasterzami, a ci niestety znają tylko swoją najbliższą okolicę.

Wjeżdżamy na niewysoką, płaską przełęcz łączącą Karasaz („czarne błoto”) z doliną Bołgart. Widok zapiera dech. W każdym kierunku bezkresne, zielone doliny otoczone pasmami gór. Zupełna pustka i brak jakichkolwiek

znaków cywilizacji. Trzymamy konie za uzdy i wpatrujemy się w zielone przestrzenie, które wydają się zlewać z pochmurnym niebem. Co ciekawe, po kirgisku na kolor trawy i nieba używa się tego samego słowa: *kok*. Tak jakby Kirgizi chcieli podkreślić, że te dwa „morza”, niebo i step, są jednym oceanem.

Teraz mała niespodzianka dla moich ułanów: po drodze na przełęcz Keregetasz („okrągły kamień”, 3684 m n.p.m.) zatrzymujemy się przy gorącym źródle. Z powodu wysokiej temperatury w obskurnym baseniku można wytrzymać zaledwie kilka minut. Ale po tygodniu bez mycia to prawdziwa rozkosz.



Damian Wojciechowski TJ

Jezuita, dziennikarz, reżyser. Od 1994 r. mieszka na Syberii i w Azji Centralnej. Organizuje wyprawy w Altaj, Sajany, Tuwę, Chakasję, na Bajkał, Zabajkale, Kamczatkę, Alaj, Pamir i Tienszan. www.tienszan.jezuici.pl